

Śmierć czyha w biedaszybach

Nędza górników Zagłębia

(Reportaż „ABC” z Zagłębia Dąbrowskiego)

Idę zwiedzać biedaszyby. Mimo woli dźwięk tego słowa przywołuje na myśl wszystkie ofiary, jakie pochłonęły te małe szybki ludzi nędzy. Kolega, który zrosił się z miejscowymi warunkami i zna dobrze te wszystkie niezliczone tragedie, jakich miejscem były biedaszyby, pokazuje mi teren naszej wędrowki. Grunt rozmo- kły, gliniasty, pełen dziur od niezasypanych biedaszybów.

— Widzicie kolego, — mówi mój przewodnik — tutaj niemal codziennie pada jedna ofiara biedaszybów.

NEDZA I NIENAWIŚĆ

Przypatruję się obszarowi. Wszędzie widać jakieś usypiska, doły, prostopadłe otwory, gdzieś tam stare belki, zbutwiałe, lub połamane deski. Koko nas przechodzą górnicy, kobiety, a nawet dzieci, wszyscy patrzą na nas niechętnie, jakby z nienawiścią. Twarze czarne, wychudłe, na ustach maluje się zawziętość, a oczy zioną nienawiścią i bólem. Ubrani w łachmany.

— Z niechęcią odnoszą się do ludzi, którzy przychodzą oglądać ich „nowoczesne” kopalnie — objaśnia kolega.

Dla tych ludzi kwestia życia czy śmierci, jest tak mało ważna, iż morderstwo, zabójstwo, lub śmierć, nważają za rzecz codzien- ną. Wytwarzają to specyficzne warunki materialne i ciągłe spo- gładanie śmierci w oczy.

Musimy zejść z drogi i wstąpić na halde, bo drogą jedzie wóz, na ładowany węglem. Koń wygląda strasznie, na bokach wystające kości biodrowe, żebra — tak, że zdała można porachować, a oprócz tego rany ropiejące na całej skó- rze. Ciągnie po pełnej wyboi dro- dze. Kiedy przystaje — pomagają

mu górnicy, a gdy to nie pomaga, bije go furman kijem od bata.

SZYBIK

Idziemy dalej, do czynnego biedaszybu. Po kilku minutach jeste- my na miejscu. Nieufne spojrze- nia, stojący przy ognisku dzie- ciak, bacznie nas obserwuje, przed nami szybik. Na wałku, jak przy studni, wspartym o podpory z desek, nawinięta jest linka sta- lowa. Z obydwóch stron kręga kor- bam kobiety. Linkę przytrzymu- je jakiś młodzieniec, który uwa- ża, aby się równo nawijała. Wi- dać skrzynkę z węglem, wyłania- jącą się z otworu biedaszybu. Ro- botnik krzyczy: — Ho-o-ho! Stop. Chwyta za skrzynkę i wysypuje węgiel na obok już nagromadzo- ny, potem wolno wpuszcza skryn- kę w dół otworu. Wałek szybko się kręci w odwrotną stronę. Z głębi dochodzi głos:

— Sto-o-p!
Kobiety odpoczywają.
Przypatrujemy się tym czynno- ściom. Czujemy się nieswojo tu- taj. Wreszcie zaczynamy rozmaw- liać.

— Ile metrów głębokości ma pa- na szybik? — pada pierwsze py- tanie.

— Nasz nie jest głęboki, ma tylko 20 metrów głębokości. Są ta- kie, co mają 40, a nawet i 60 me- trów — odpowiada górnik.

SPÓŁDZIELNIE NEDZARZY

— Jak długo trwa wykopanie takiego szybiku?

— Nieraz trzy tygodnie. Trzeba mieć do tego kapitał. To też bied- niejsi górnicy (brzmio to trochę pa- radoksalnie — wśród najbied- niejszych — biedniejsi), muszą za- kładać spółkę. Trzeba łopat, ki- łofów, miedziarki, narzędzi wycią- gowych, belek do stemplowania — a na to potrzebna jest gotów- ka. Zdarza się, że szybik prawie już wykończony, zasypie górnik kopalniany pod nadzorem policji, ponosi się straty wówczas. Ale i na to jest rada. Na drugi dzień zakrywa się deskami, przysypuje ziemią i wtedy go nie widać.

— Długo panowie zarobią na dzień?

To pytanie budzi obawę nasze- go rozmówcy, dlatego też, po chwili namysłu, pyta:

— A panom to na co potrzeba- ne?

POLSKA BEZ PROLETARIATU

My z redakcji narodowo - rady- kalnego pisma „ABC” — słyszał pan coś o nim, albo o tym ruchu?

— O tak! — jak chodzę na zebrania socjalistów to ciągle krzyczeli, że to pismo faszystow- skie, burżuazyjne, ale nie wszy- scy w to uwierzyli.

— Czytał pan może dra Woj- ciecha Zaleskiego broszurkę „Pol- ska bez proletariatu”?

— Czytałem i wtedy przeko- nałem się, że socjaliści to zdraj- cy mas robotniczych, bo udają, że walczą z kapitalistami, a łą- czą się z pasorzytami robotni- ków — żydami. Takich broszu- rek jak „Polska bez proletaria- tu”, powinno więcej się wyda- wać. Dziś ruch narodowo - ra- dykalny ma bardzo wielu zwo- lenników wśród nas. Niech pan napisze, iż górnicy Zagłębia Dą- browskiego wierzą w zwycię- stwo idei narodowo - radykalnej.

Wręczamy mu 2 egzemplarze „Polski bez proletariatu” doda- jąc:

— To dla tych, którzy wierzą i nie wierzą, ale po przeczytaniu zostaną wyznawcami naszej idea- logii. Może mi jeszcze pan po- wie ile przeciętnie zarabia się na biedaszybach?

— To zależy od czasu i waru- ków pod ziemią. Jak się „fedru- je” w kamieniu, albo łupku to i 2 złote za 10 godzin się zarobi, ale jak się trafia na węgiel to i 5 złotych też można zarobić. A możeby pan zobaczył jak wygła- dają nasze „kopalnie” na dole.

W tym momencie słyszymy od- głos wystrzału.

— To węgiel rozsypał się — dodaje. No jak zjadł panowie?

Spoglądam na kolegę, nasze buty, palta, spodnie — on na- mnie.

W BIEDASZYBIE

Ha — myślę sobie — trzeba być odważnym i ujrzeć tą kopal- nię „ludzi głodu i nędzy” „XX wie- ku.

— Dobrze, zwiedzimy — od- powiadam.

Górnik nachyla się nad bieda- szybem i krzyczy swemu towarzy- szowi znajdującemu się na dół, że „panowie redaktorzy „ABC” zobaczą ich „fedrunek”. Z dołu nas zapraszają.

Czekamy chwilę. Koledzy znów wyciągają skrzynkę z węglem, górnik wysypuje go, odczepia skrzynkę od linki, robi pętlę, da- je wskazówki jak mam zjeżdżać, wręcza mi latarkę karbidową. Wkładam nogę w pętlę, druga wi- si w powietrzu, a rękami trzy- mam się linki, dźwierząc jednocześnie w rękach karbidkę.

— Szczęść Boże — woła gór- nik i kolega.

Zjeżdżam. Po dwóch minutach dotykam ziemi. Jakaś czarna, zasmolona twarz zwraca mi u- wagę, abym szedł pochylony, gdyż chodnik ma zaledwie 1.30 m., poczym przedstawia mi syna

swego, który mu pomaga przy pracy, dodając:

— Od 15 roku pracowałem na „grubie”, ale coś po 14 latach mu- siał przestać, bo zamknęli, a ro- boty nigdzie dostać nie może, takie „pierońsko ciężkie” czasy. Już dwa lata tak żyjemy, trza- było, za innymi pójść na te szyby.

Zjechał pokrótce i mój kolega. Idziemy pochyleni. Prowadzi nas górnik - ojciec. Węgiel lśni od światła karbidów. Przejmują- cy chłód tutaj panuje. Ze stropu podpartego gdzieniegdzie belka- mi i deskami, kapie woda. Idąc, uderzamy głową o niski strop, lub też potykamy się o wystają- ce bryły węglowe. Zbliżamy się do miejsca, w którym strop chod- nika zaczyna się zniżać. Przysta- jemy.

— Dalej, to już panowie nie pój- dą, bo chodnik ma zaledwie nie cały metr wysokości i trzeba czołgać się, lub iść na kolanach — mówi syn górnika.

I długi jest taki chodnik? — pytam się.

— Do stu metrów, potem już jest cały „filar”. t. j. miejsce, skąd wydobywamy węgiel. O- tam jest na 5—10 metrów wyso- ko. Tu kamień był, to trza było się przebić.

— W jaki sposób węgiel tran- sportujecie do szybu?

— Widzi pan, tu, prosto, jest wałek z linką. Ciągnie więc mój syn skrzynkę na płochach, taką jak ta.

Zwykła skrzynka, mająca za- miast kół — płozy, podobne jak przy saniach.

ŚMIERĆ CZYHA

Praca jest ogromnie niebez- pieczna, bo nie tylko strop może się zawalić „zarabować”, ale tak- że może zarwać się ziemia pod stopami górników i wtedy czeka ich śmierć w czeluściach starej kopalni, na dnie której czyha je- szcze gaz, ogień lub woda.

Wreszcie wyjeżdżamy. Ubrania nasze przedstawiają godny poża- łowania widok. Wszędzie glina, w- bardzo wielu miejscach widnieją czarne plamy, o kapeluszach le- piej nie mówić.

Ciężka i pełna bohaterstwa jest praca tych ludzi, którzy nie chcą iść na drogę występku, składają ofiarę swej krwi, i życia.

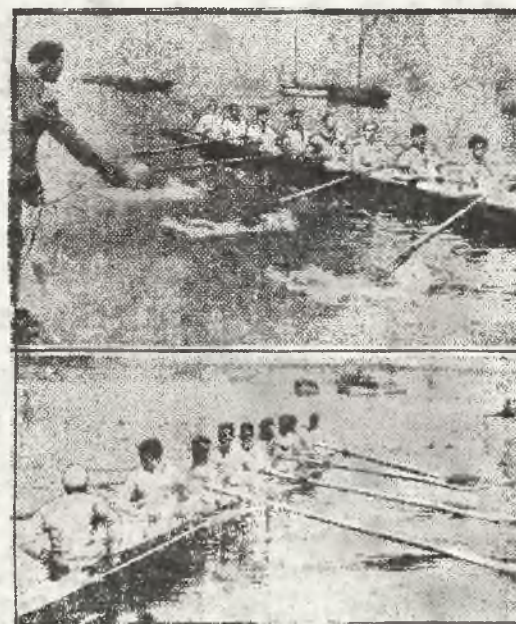
NADZIEJA

Zegnamy ich z nadzieją, iż w Polsce bez proletariatu, nie bę- dzie musiał robotnik pracować w tak ciężkich warunkach.

Z życzeniami polepszenia ich do- li i zwycięstwa idei narodowo- radykalnej, opuszczamy teren bie- daszybów.

Lip.

Trening



Pięknie wyglądają osady angielskich uniwersytetów Oxford i Cambridge, trenujące do wysiłku mającego się odbyć 2 kwietnia

Wielki amerykański wynalazek

Okulary zbędne zastąpią je małe soczewki

W Ameryce czynione są do- świadczenia, dające jak najlepsze wyniki z nowym wynalazkiem, mającym zastąpić okulary.

Zamiast szpeczących szkieł na- oczy, wymagających wzmocnienia wzroku, nakładane są małe socze- wki, niewidzialne soczewki, wykonane ze specjalnego nietłukącego sie-

szkła. Soczewki te nakładane są pod powiekę, bezpośrednio na rogówkę oka.

Obecnie cena takich soczewek jest jeszcze bardzo wygórowana. Prawdopodobnie jednak w przy- szłości staną się one dostępne dla szerszego ogółu.

Trumna na miarę

Rekordzista wśród samobójców zdołał wreszcie umrzeć

W miasteczku Maubeuge zmarł niejakiego Gaston Leblanc w wie- ku lat 60. Był to chyba najbardziej uparty samobójca, jaki kiedykol- wiek żył na świecie.

Pierwszy jego zamach samo- bójczy datuje się jeszcze z przed wojny. Strzelił on do siebie dwu- krotnie i tak celnie, że obydwie kule utkwiły w głowie Odratowa- no go jednak trepanując mu cza- skę.

Od jakichś dziesięciu lat nie- mał co roku usiłował on utopić się. Zawsze jednak w ostatniej chwili uwalniał się z więzów, któ- re sam sobie nakładał. Był bo- wiem świetnym pływakiem.

Ubiegłego roku żona podbiła mu rękę w chwili, gdy strzelał do siebie. Kula drasnęła go tylko.

Dwa tygodnie temu zgłosił się do miejscowego szpitala, twier- dząc, że jest dotknięty nieuleczal- ną i zaraźliwą chorobą. Mimo za- pewnień lekarzy, że jest zdrow, Leblanc opuściwszy szpital ozna- mił rodzinie i znajomym o swej chorobie i zakomunikował im, że

umrze w najbliższym czasie. Na- stępnie udał się do zakładu po- lat 60. Był to chyba najbardziej uparty samobójca, jaki kiedykol- wiek żył na świecie.

Wróciwszy do siebie oddał Le- blanc zapłacony zgonie pokwito- wanie zapłaconego pogrzebu, na- stępnie wszedł na strych i tam po- wiesił się na belce. Nie upłynęło kilka sekund, gdy ktoś zauważył wiszącego. Nie znalazł się jednak nikt, żeby go odciąć, mimo, że zbiegli się wszyscy sąsiedzi. Oba- wiali się widocznie jego gniewu.

Plastyka

Numer 2 — 3 wydawnictwa „Pla- styka” zawiera m. in. interesujący artykuł Carlo Verdiani p. t. „Tin- toretto”. Uwagi Edgara Norwer- tha o „Zagadnieniach estetycznych w budownictwie wojskowym”, o- raz duży wyczerpujący artykuł Sta- nisława Ciechomskiego z okazji dziesięciolecia „Bractwa św. Lu- kasz”. Poza tym St. Appenzeller pisze o „Tragedii Zbiorów Państwo- wych”. — „Wspomnienia z góry Athos”. — Lękał o „Koncencie Miasta w Warszawie”. Numer za- myka obszerna „Kronika Plasty- czna”.

Naturalny środek przeciw obrzękom
ZIOŁA PRZECZYSCZAJĄCE
KARPINSKIEGO

JACEK BRZEZINA

54

PERŁY I KARABINY

POWIEŚĆ

— Na pana tak samo polują, jak i na mnie. Hahaha... Do- brze pan zrobił wracając tutaj. Razem damy sobie lepiej ra- dę w dniu, kiedy o ni przyjdą załatwić z nami swoje pora- chunki... — rozejrzał się trwożnie dookoła i opatulił szczel- niej w zarzucony na plecy koc. — Już ich tutaj ładnie przy- witamy. I tak o jednego jest mniej! Tej samej nocy, co po- lowali na pana, ze mną też chcieli się rozprawić. Zabiłem jed- nego. Hahaha... Dziś był jego pogrzeb. Płaczki ładnie rycza- ły... Hahahaha...

Stanley uchwycił znaczące spojrzenie Kłopoty.

— Też samej nocy... zabiłem jednego... Czyżby owym ta- jemniczym gościem w szpitalu był właśnie Wetmore?

— Jestem zmęczony i muszę już iść spać. Panowie wy- bacz!

— Pokój przygotowany. Codziennie czeka na pana. — Wetmore chciał odprowadzić Stanleya, lecz Kłopot odsu- nął go.

— Zostań pan, ja już we wszystkim naszemu rekonwale- scentowi pomogę.

— Ale ja sam nie chcę tutaj zostać... Płaczliwa skarga Wetmore'a pozostała bez echa.

— Za ostro rozmawiał pan z Baadem! — zauważył Kło- pot, gdy znaleźli się w pokoju Stanleya. — Nie trzeba sobie tak ludzi zrażać!

Stanley wruszył ramionami.

— Cóż miałem mu powiedzieć?

Kłopot zamknął starannie okno i zastonił je roletą. Był

zupełnie trzeźwy i Stanley podziwiał w duchu, jak ten czło- wiek świetnie umiał udawać.

— Chciałem panu podziękować za uchronienie mnie od nieszczęścia!

Kłopot machnął ręką.

— Nie moja zasługa. O wszystkim dowiedziała się panna Landon i ona ułożyła cały plan, ja byłem tylko doradcą.

— Jakto o wszystkim się dowiedziała?

— O tym zamachu na pana! Emir wygadał się przed nią.

— Emir... — Stanley wspominał słowa Kłopoty, iż ku- weicki kacyk kręcił się koło pięknej Amerykanki... Dlaczego jednak kłamała, opowiadając, iż wszystko jest zasługą Kło- poty?...

— Muszę już iść. Za długo nie mogę z panem sam na sam siedzieć. Spokojnie by to jakieś podejrzenia wywołało! Spać może pan spokojnie, tylko łóżko w inny kąt trzeba przesunąć, a i rewolwer radzę mieć pod ręką. Poza tym klucza z zamku proszę nie wyjmować, by ktoś podrobionym drzwiami sobie nie otworzył...

— Są jakieś nowiny?

— Jak dotychczas, nie, lecz sądzę, że jutro dowiem się wielu ciekawych rzeczy. Dobranoc!

ROZDZIAŁ XVII

SERCE I INTERES

Ranek nad morzem — nim jeszcze słońce wzniesie się na- tyle, by oblać ziemię swymi upalnymi promieniami, nim fa- le w odpływie nie odkryją mulistego dna, nim barki poławia- czy perłę nie odpłyną do połów, nim wiatr i słońce nie ro- pędzą świeżego zapachu morza — to chwila, w której Kuweit- raczej pięknym mógłby się wydawać, ba — pociągać nawet, a jeszcze, gdy jak Stanley Destroy znalazłoby się niespodzie- wanie nad brzegiem słonych, granatowych wód ukochaną

dziewczynę, o złotych włosach i błyszczących oczekiwaniem oczach, każdy by się czuł szczęśliwym!

Siedzieli chwilę w milczeniu, on — jak gdyby zażenowa- ny, ona — spoglądając przed siebie jasnym, beztroskim wzro- kiem.

— Coś pan dzisiaj markotny! Czyżby źle się spało?

Na powitanie wymknęła się z jego ramion, teraz per „pan” mówiła... dodawszy jeszcze wczorajsze napomknienie Kłopo- ta o Emirze, wszystko to, mimo szczęścia, że siedzi znowu w towarzystwie kobiety, która owdlała jego sercem, nie wprawiało Stanleya w dobry humor.

— Zbyt dużo myślałem w nocy o Tobie i o Emirze!

— O!!! Skądże to porównanie?

Spojrzał jej badawczo w oczy. Nie uciekła ze spojrzeniem, a wzrok jej mówił więcej, niż słowa. Stanley skłął się w du- szy, jednakże postanowił badanie do końca przeprowadzić. Był mężczyzną i jako taki nie mógł się wyłamać z natural- nych praw „płci brzydkiej”, które wymagają nawet czasem wbrew woli i zdrowego rozsądku, narazając się nieraz na stracenie tego, co się zdobyło, by kobieta powiedziała w- szystko!

— Dowiedziałem się, iż tajemnicę napadu na mnie w szpi- talu odkrył nie Kłopot, lecz panna Landon (chciał być oficjalnym!) za pośrednictwem tego brudnego Emira. Czy to prawda?... I co właściwie ciebie łączy z tym tutejszym kacykiem?

Początkowo wyraz twarzy Margaret Landon wyrażał bez- graniczne zdumienie, które przeszło w wybuch śmiechu.

— Ach, wy mężczyźni! Każdy z was jednakowo myśli i pyta. Przypomina mi się nieśmiertelna rozmówka między

(D. c. n.)